

Maria Konopnicka

Mendel Gdański

BRYK  PL



Książka dostępna na stronie [Bryk.pl](https://bryk.pl)

Od wczoraj jakiś niepokój panuje w uliczce. Stary Mendel dziwi się i częściej niż zwykle nakłada krótką fajkę, patrząc w okno. Tych ludzi nie widział on tu jeszcze. Gdzie idą? Po co przystają z robotnikami, śpieszącymi do kopania fundamentów pod nowy dom niciarza Greulichy? Skąd się tu wzięły te obszarpane wyrostki? Dlaczego patrzą tak po sieniach? Skąd mają pieniądze, że idą w pięciu do szynku?

Stary Mendel kręci głową, smokcząc mały, silnie wygięty wiśniowy cybuszek. On zna tak dobrze tę uliczkę cichą. Jej fizjonomję, jej ruch, jej głosy, jej tętno.

Wie, kiedy, zza którego węgła wyjrzy w dzień pogodny słońce; ile dzieci przebiegnie rankiem, drepcząc do ochronki, do szkoły; ile zwiędłych dziewcząt w ciemnych chustkach, z małymi blaszeczkami w ręku, przejdzie, po trzy, po cztery, do fabryki cygar na robotę; ile kobiet przystanie z koszami na starym, wytartym chodniku, pokazując sobie zakupione jarzyny, skarżąc się na drogość jaj, mięsa i masła; ilu wyrobników przeclapie środkiem bruku, ciężkim chodem nóg obutych w trepy, niosąc pod pachą węzełki, a w ręku cebrzyki, kielnie, liny, siekiery, piły. Ba, on i to nawet wie może, ile wróbli gnieździ się w gzymsach starego browaru, który panuje nad uliczką wysokim, poczerniałym kominem — w gałęziach chorowitej, rosnącej przy nim topoli, która nie ma ani siły do życia, ani ochoty do śmierci, i stoi tak czarniawa, przez pół uschnięta, z pniem spustoszoną, z którego na wiosnę wynika nieco bladej zieloności. On, może nawet nie patrząc w okno, samym uchem tylko rozpoznałby, czy Paweł, stróż, zamiata ulicę nową swoją, czy też starą miotłą.

I jak tego wszystkiego nie ma Mendel Gdański wiedzieć, kiedy już od lat dwudziestu i siedmiu w tej samej izbie, pod tym samym oknem swój warsztat introligatorski ma i tak już przeszło ćwierć wieku przy nim w fartuchu swoim skórzanym stoi, a podczas kiedy sucha, żyłasta, a dziś już nieco drżąca ręka dociska drewnianą śrubę prasy, oczy jego spod brwi gęstych, nawisłych, siwych, patrzą w tę uliczkę, która jest wśród wielkiego miasta jakby odrębnym, zamkniętym w sobie światem.

Świata tego drobne tajemnice zna Mendel na wylot. Wie, kiedy się powiększa a kiedy zmniejsza kaszel starego archiwisty, który mu przynosi do oprawy grube, pełne kurzu foliały zatechłych papierów, wie, jak pachnie pomada małego dependenta, któremu zszywa akta pana mecenasa; wie, kiedy przyjdzie Joasia od pani radczyni z żądaniem, aby jej za „skło pięknie wsadził” laurkę z powinszowaniem, na której złocisty anioł odkrywa się i pokazuje kawalera z bukietem róż w ręku; wie, kiedy nie je obiadu student, mieszkający na strychu, wie, z której strony nadbiegnie zdyszana pensjonarka,

żądając, aby jej „niebiesko i ze złotymi sznurkami” oprowił przepisane na listowym papierze poezje Czesława i Gawalewicza.

On wszystko wie. Wszystko, co można widzieć na lewo i na prawo siwym, byстрыm okiem, co można na prawo i na lewo usłyszeć uchem i co przemyśleć można długimi godzinami, stukając jak dzięcioł młotkiem introligatorskim, równając i obcinając wielkie arkusze papieru, warząc klej, mieszając farby.

I jego też znają tu wszyscy. Obcy człowiek rzadko zajrzy; każdy jakby swój, jakby domowy.

Stary, łysy zegarmistrz z przeciwka, przez otwarte okno krzyczy mu latem „dzień dobry” i pyta o Bismarcka; suchotniczy powroźnik zaczepia o jego klamkę swoje długie, konopne sznurki, które, dysząc, kręci w wąskiej, wpół widnej sionce kamieniczki; chudy student z facjatki, z nogami jak cyrklowe nożyce, wsadza zmierzchem w jego drzwi głowę na długiej, cienkiej szyi i pożycza od niego łożówkę, którą „zaraz odda, tylko jeszcze z godzinkę popisze...” Straganiarka poda mu czasem przez okno rzodkiew czarną, w zamian za kolorowe skrawki papieru, z których sobie jej chłopaki sporządzają latawce, słynne na całą ulicę; synek gospodarza całymi godzinami przesiedzi u niego, czekając na wolną chwilę, w której Mendel da mu tektury do podklejania wyciętych z arkusza żołnierzy, a tymczasem dziwuje się wielkim uszom nożyc, waży w rękę młotek, wtykając nos w garnczek z klajstrem, próbując go niemal. Wszystko to tworzy jakąś atmosferę wzajemnej życzliwości. Staremu Mendlowi dobrze w niej być musi. Mimo sześćdziesięciu i siedmiu lat, rześki jest jeszcze w sobie. Spokój i powaga maluje się na jego typowej, zawiedłej w trudach twarzy.

Włosy jego są mocno siwe; a długa broda zupełnie siwa. Pierś zakłęśła pod pikowanym kaftanem często zadychuje się wprawdzie, a grzbiet zgarbiony nigdy jakoś nie chce rozprostować, ale tym nie ma się co trapić, póki nogi i oczy starczą, póki i w rękę siła jest. Kiedy mu duszność dech zapiera, a w zgiętym grzbiecie ból jakiś krzyże łamie, stary Mendel nakłada w małą fajeczkę tytoń z poczerniałego, związanego sznurkiem pęcherza i, kurząc ją, wypoczywa chwilę. Tytoń, którego używa, nie jest zbyt wyborny, ale daje taki piękny, siny dymek i tak Mendlowi smakuje. Siny ten dymek ma i to jeszcze w sobie szczególnego, że widać w nim różne rzeczy oddalone i takie, które już dawno minęły.

Widać w nim i Resię, żonę jego, z którą dobrze mu było na świecie przez trzydzieści lat, i synów, którzy się za chlebem rozbiegli, jak te liście wichrem gnane, i dzieci synów tych, i smutki różne, i pociechy, i troski; a już najdłużej to w nim widać jego najmłodszą

dziewczynę Liję, tak wcześnie wydaną i tak wcześnie zgasłą, po której mu tylko jeden wnuk pozostał. Gdy stary Mendel rozpala swoją fajeczkę, jakieś ciche mruczenie dobywa się z ust jego. W miarę, jak pali i jak dymek siny przynosi mu dalekie obrazy i takie, które już nigdy nie wrócą, mruczenie to rośnie, potężnieje, staje się jękiem niemal. Ta dusza ludzka, dusza starego żyda, ma też smutki swoje i tęsknoty, które zagłusza pracą.

Tymczasem sąsiadka przynosi w jednej ręce garneczek z rosółem, w którym pływają kawałki rozmięklej bułki, a w drugiej przykryty talerz z mięsem i jarzyną. Stary Mendel odbiera od niej ten skromny obiad; nie je go wszakże, tylko postawiwszy na małym, żelaznym piecyku, czeka. Czekanie to trwa niedługo. O samej drugiej drzwi izdebki otwierają się głośno, hałaśliwie, a w nich ukazuje się mały gimnazista; w długim, na wyrost sporządzonym szynelu, w dużej zsuniętej na tył głowy czapce, z tornistrem na plecach. Jest to chłopak dziesięcioletni może, który po matce, najmłodszej córce starego Mendla, wziął piwne, o złocistych blaskach oczy, długie, ciemne rzęsy i drobne usta, a po dziadzi nos orli i wąskie wysokie czoło. Szczupły i mały, chłopak mniejszym się jeszcze i szczuplejszym wydaje, kiedy zrzuci szynel i zostanie tylko w szkolnej, szerokim pasem przepasanej bluzie. Stary Mendel jest w ciągłej o niego obawie. Przezroczyta cera chłopca, jego częsty kaszel, jego wątłe piersi i pochylone barki, budzą w dziadzie nieustanną troskę. Wybiera też dla niego najlepsze kawałki mięsa, dolewa mu i dokłada na talerz, a kiedy chłopak się naje, klepie go po ramieniu i zachęca do zabawy z dziećmi w podwórku.

Malec rzadko kiedy namówić się pozwala. Jest zmęczony lekcjami, ciężkim szynelem, siedzeniem w szkole, drogą, dźwiganiem tornistra; ma też dużo zadań na jutro. Powłóczy nogami chodząc, a nawet wtedy, kiedy się uśmiecha, piwne jego oczy patrzą z melancholią jakąś.

W kilka chwil po obiedzie malec zasiada przy prostym sosnowym stole, dobywając z tornistra książki i zeszyty, a stary Mendel zabiera się do swego warsztatu. Choć chłopak cicho się sprawnia i, tylko szeptem półgłosnym powtarzając lekcje, kiedy niekiedy zaledwie stuknie stołkiem, na którym się buja, podparłszy na stole oba chude łokcie, znać przecie, że staremu introligatorowi przeszkadza coś w robocie. Co i raz odwraca on głowę, by spojrzeć na chłopca, a choć po klajster ręką sięgnąć może, obchodzi z boku warsztat, gdy mu go potrzeba, aby po drodze uszczypnąć wnuka w liczko blade, przejrzyste, lub pogłaskać go po krótko przyciętych, miękkich i ciemnych jak krecie futerko włosach. Chłopiec przyzwyczajony jest widać do tych pieszczot, nie

przerywa przy nich bowiem ani swego żarliwego szeptu, ani kołysania się na stołku. Stary introligator wszakże zupełnie i tym jest zadowolony, a przyciszając kłapanie pantofli, powraca na palcach do swego warsztatu.

W piątek przed wieczorem scena się odmienia: malec uczy się przy oknie, kołysząc się mozolnie na stołku, nie mającym tu swojego rozpędu, a na sosnowym, pokrytym serwetą stole sąsiadka zastawia rybę, makaron i tylko co przyniesioną od piekarza tłustą, pięknie zrumienioną kaczkę. Cynowy, o dziwnie powykręcanych ramionach świecznik z gałkami oświeca izbę uroczyście, świątecznie.

Stary Mendel ma na sobie wytarty już nieco, ale jeszcze piękny, żupan czarny, przepasany szerokim pasem, za który z lubością zakłada spracowane ręce. Siwe jego włosy pokrywa jarmułka, a skrzyp nowych z długimi cholewami butów napęnia izbę jakimś radosnym szmerem. Gdy już stół zastawiony został, chłopak się myje, przyczesuje swoje krecie futerko na drobnej, podłużnej głowinie, zapina świeży kołnierzyk i czyste mankiety, a założywszy ręce w tył, stoi poważny i wyprostowany, podczas kiedy dziad sięga na półkę po zwinięty taś i po modlitewnik.

W chwilę potem rozlega się wargowy, brzęczący śpiew modlitewny starego żyda; głos jego przechodzi wszystkie spadki od niskich, śpiewem brzęmiących, do wysokich, na których śpiew jego przechodzi w jęk i w żarliwy jakiś lament, w akcenty namiętne, błagalne, łkające. Pod wpływem śpiewu tego mały gimnazista odczuwa dreszcz nerwowy, blada jego twarzyczka staje się bledszą jeszcze, wielkie oczy to rozszerzają się nad miarę, to mrużą się i zachodzą łzami; patrzy na dziada jakby urzeczony, a spazmatyczne ziewanie otwiera mu usta. Na szczęście, dziad zamyka wkrótce stary modlitewnik i błogosławieństwem rozpoczyna szabasową ucztę.

Zdarzyło się raz latem, że chłopaki od Kołodziejskiego ślusarza i od szewca Pocieszki zebrali się przed otwartym oknem starego introligatora, a zaglądając przez nie do oświetlonej szabasowym światłem izby, robili sobie z tej modlitwy śmieszki i głupią uciechę.

W tej chwili wszakże przechodził tamtędy stary proboszcz, a spojrzawszy przelotnie w okno i widząc modlącego się żyda, który z takim jękiem wołał po swojemu do Boga, uchylił kapelusza. Scena była niema, ale nad wyraz wymowna. Chłopaki zemknęli, jakby ich wiatr zdmuchnął, i nie było odtąd wypadku, aby spokój tej ubogiej izby zamieszany został.

Przedwczoraj dopiero...

Właściwie i przedwczoraj nie stało się nic. Tylko malec powrócił ze szkoły bez czapki, zdyszany, jak zając zgoniony. Zrazu nic mówić nie chciał; dopiero po długich badaniach wyznał, że jakiś obdartus krzyknął na niego „żyd!... żyd!...”, więc on uciekał i czapkę zgubił, i nie śmiał wracać po nią.

Fala gniewu uderzyła staremu Mendlowi do twarzy. Wyprostował się, jakby urósł nagle, splunął, a potem chłopaka twardo za ramię ująwszy, do stołu pchnął i obiad w milczeniu spożył.

Po obiedzie nie wrócił do warsztatu i fajki nie nakładał, tylko sapiąc, po izbie chodził. Malec także do lekcji się nie brał, ale patrzył na dziadka zalęknionym wzrokiem. Nigdy go jeszcze tak gniewnym nie widział.

— Słuchaj ty! — przemówił wreszcie, stając przed chłopcem, Mendel. — Jak ja ciebie małego sierotę wziął i chował, i za niańkę także był, i piastował ciebie, nu, to nie na to ja ciebie chował i nie na to ciebie piastował, co by ty głupi był! I jak ja ciebie uczyć dał, jak ja ciebie do szkoły posyłał, jak ja tobie książki kupował, to też nie na to, co by ty głupi był! A ty ze wszystkim głupi rośniesz, i nie ma u ciebie żadnej mądrości! Jakby u ciebie mądrość była, to by ty tego nie wstydział się, nie płakał, nie uciekał, że kto na ciebie „żyd” krzyknie. A jak ty tego płaczesz, jak ty uciekasz i jeszcze taką piękną nową czapkę gubisz, co pięć złotych bez sześciu groszy kosztuje gotówką, pieniędzmi, nu, to ty ze wszystkim głupi jesteś, a te szkoły, te książki, te nauki, to wszystko na nic!

Odsapnął i znów mówić zaczął:

— Nu, co to jest żyd? Nu, jaki ty żyd? — mówił już łagodniejszym głosem. — Ty się w to miasto urodził, toś ty nie obcy, toś swój, tutejszy, to ty prawo masz kochać to miasto, póki ty uczciwie żyjesz. Ty się wstydzisz nie masz, żeś żyd. Jak ty się wstydzisz, żeś ty żyd, jak ty się sam za podłego masz, dlatego, żeś żyd, nu, to jak ty możesz jakie dobro zrobić dla to miasto, gdzie ty się urodził, jak ty jego kochać możesz?... Nu?...

Zachłysnął się i znów przed chłopakiem stanął. Tym razem jednak patrzył na jego złęknioną twarzyczkę z jakimś rozrzewnieniem. Położył mu na głowie rękę i rzekł z naciskiem:

— Uczciwym żydem być jest piękna rzecz! To pamiętaj sobie! A teraz się ucz, żeby ty głupim nie był, a czapkę to ja tobie inszą kupię, to ty nie potrzebujesz płakać, bo to głupstwo jest!

Malec pocałował w rękę dziada i wziął się do książek. Stary introligator bardziej jednak był poruszony tą sprawą, niż to chciał dziecku okazać. Długo bowiem po izbie chodził, nie kończąc pilnej, zaczętej roboty, i spluwając po kątach, jakby się goryczą

jaką nakarmił. Nie przetrawił on tej goryczy w sobie i przez noc widocznie, gdyż bardziej zgarbiony i postarzały niż zwykle nazajutrz wstał; kiedy chłopiec, podpiąwszy rzemienie tornistra, do szkoły ruszył, stary poszedł do okna i patrzył za nim niespokojnie, długo.

Niepokój ten nie opuszczał go i przy pracy nawet. Częściej niż zwykle, pod wpływem jakiegoś rozdrażnienia nakładał krótką fajeczkę i podchodził do okna, i patrzył podejrzliwie w tak dobrze, w tak dawno znaną sobie uliczkę. Pod wpływem też tego rozdrażnienia zapewne, ruch jej, jej głosy, jej tętno, inne mu się jakieś, niż zwykle, wydały.

Gdy jednak malec powrócił ze szkoły wesół, bo piątkę dostał, rozbawiony nową czapką, która mu na oczy wjeżdżała, stary o swoich przywidzeniach zapomniał i czy to sam dla siebie, czy dla uciechy dziecka, gwizdał przy robocie, jak za młodych czasów!

Po obiedzie wpadł po akta dependent, pachnący piżmem.

— Co słyszeć? — spytał.

— Wszystko dobrze, broń Boże od złego! — odrzekł Mendel Gdański.

— Podobno żydów mają bić?... — rzucił pachnący dependent z głupkowatym uśmiechem.

— Nu, jak bić, to bić! — odrzekł Mendel, pokrywając wrażenie, jakie na nim te słowa wywarły. — A kto ich ma bić? Urząd?...

— I... Urząd by tam — rozśmiał się mały dependent.

— Nu, jak nie urząd, to i chwała Bogu! — rzekł Mendel.

Roześmiali się obaj. Młody dependent głupkowato, żyd z przymusem widocznym.

Zły był, że ta rozmowa toczyła się przy dziecku. Spojrzał na chłopca spod brwi nasuniętych. Malec wlepił w dependenta wielkie swoje oczy i dopiero, kiedy ten za progiem był, spuścił je na karty książki pociemniałe, pałające. Stary Mendel, jakby nie widział tego, zaczął znowu gwizdać. Ale gwizdanie to miało coś w sobie ze świstu przytłoczonej wielkim ciężarem piersi, nuta przycichała, głuchła, zasypiała, aż urwała się zgrzytem czy jękiem.

Zmierzchało już w izbie, kiedy przez niskie drzwi wcisnął się gruby zegarmistrz w popielatym haweloku, jakiego stale używał w tej porze.

— Słyszałeś pan nowinę? — zapytał, siadając na brzegu stołu, przy którym uczył się malec.

— Nu — odparł Mendel — co mnie po nowinów? Jak ona będzie dobra, to ona i wtedy będzie dobra, kiedy ona nie będzie nowina, a jak zła, nu, to na co ja ją słuchać mam?

— Podobno żydów mają bić — rzekł tłusty zegarmistrz, kiwając nogą w wyciętym trzewiku z błyszczącą stalową sprzączką.

Stary Mendel zamrugał kilka razy nerwowo, koło ust przebiegło mu nagłe drgnięcie. Wnet opamiętał się jednak i, przybrawszy ton jowialnej dobroduszości, rzekł:

— Żydów? Jakich żydów? Jeśli tych, co uni złodzieje są, co uni ludzi krzywdzą, co uni po drogach rozbójstwo robią, co uni z tego biednego skórę ciągną, nu, to czemu nie? Ja sam pójdę ich bić!

— Ale nie! — roześmiał się zegarmistrz. — Wszystkich żydów...

W siwych źrenicach Mendla zapalił się błysk nagły. Przygasił go jednak wpół spuszczoną powieką i niby obojętnie zapytał:

— Nu, za co oni mają wszystkich żydów bić?

— A za cóż by? — odrzucił swobodnie zegarmistrz. — Za to, że żydy!

— Nu — rzekł Mendel, mrużąc siwe oczy — a czemu uni do lasa nie idą i nie biją brzeziny za to, że brzezina, albo jedliny za to, że jedlina?...

— Ha! ha! — rozśmiał się zegarmistrz. — Każdy żyd ma swoje wykręty! Przecie ta jedlina i ta brzezina to nasze, w naszym lesie, z naszego gruntu wyrosła!

Mendel aż się zachłysnął, tak mu odpowiedź na usta nagle wypiała. Pochylił się nieco ku zegarmistrzowi i głęboko zajrzał mu w oczy.

— Nu, a ja z czego wyrósł? A ja z jakiego gruntu wyrósł? Pan dobrodziej mnie dawno zna? Dwadzieścia i siedem lat mnie pan dobrodziej zna! Czy ja tu przyszedł jak do karczmy? Zjadł, wypił i nie zapłacił? Nu, ja tu nie przyszedł jak do karczmy! Ja tu tak w miasto urósł, jak ta brzezina w lesie! Zjadł ja tu kawałek chleba, prawda jest. Wypił też wody, i to prawda jest. Ale za tego chleba i za tej wody ja zapłacił. Czym ja zapłacił? Pan dobrodziej chce wiedzieć, czym ja zapłacił?

Wyciągnął przed siebie obie spracowane, wyschłe i żylaste ręce.

— Nu — zawołał z pewną porywcznością w głosie — ja tymi dziesięciu palcami zapłacił! Pan dobrodziej widzi te ręce?

Znów się pochylił i trząsł chudymi rękami przed błyszczącą twarzą zegarmistrza.

— Nu, to takie ręce są, co ten chleb i te wodę próżno do gęby nie nosiły! To takie ręce są, co się pokrzywiły od noża, od obcęgów, od śruby, od młota. Nu, ja nimi zapłacił za każdy kęs chleba i za każdy kubek wody, co tu zjadł i wypił. Ja jeszcze i te oczy

przyłożył, co już dobrze patrzeć nie chcą, tego grzbietu, co nie chce już prosty być i te nogi, co nie chcą mnie już nosić!

Zegarmistrz słuchał obojętnie, bawiąc się dewizką. Żyd sam się roznamiętniał swą mową.

— Nu, a gdzie ta zapłata moja jest? Ta zapłata moja jest w szkole u dzieci, u tych paniczów, u te panienki, co się uczą na książkę, co piszą na kajetu, nu. Una i w kościół jest, jak tam z książkami ludzie idą... Nu, una i u wielmożnego proboszcza jest, bo ja i jemu oprowiał książki, niech un zdrowy żyje!

Tu uchylił jarmułki, a potem dodał:

— Moja zapłata w dobrych rękach jest!

— Tak się to mówi — odparł dyplomatycznie zegarmistrz — ale żyd zawsze żydem!... Nowe iskry zagorzały w oczach starego introliigatora.

— Nu, a czym un ma być? Niemcem ma być? Francuzem ma być?... Może un koniem ma być? Nu, bo psem to un już dawno się zrobił, to un już jest!

— Nie o to chodzi! — rzekł patetycznie zegarmistrz. — Chodzi o to, żeby nie był obcym!...

— O to chodzi? — odparł żyd, przechylając się w tył i cofając łokcie. — Nu, to niech mi tak od razu pan dobrodziej powiada! To jest mądre słowo! Ja lubię słyszeć mądre słowo! Mądre słowo to jest jak ojciec i jak matka człowiekowi. Nu, ja za mądre słowo to bym milę drogi szedł. Jak ja mądre słowo usłyszę, to mnie za chleb starczy. Jakby ja wielki bogacz był, wielki bankier, nu, to ja by za każde mądre słowo dukata dał. Pan dobrodziej powiada, co by żyd nie był obcy? Nu, i ja tak samo powiadam. Czemu nie? Niech un nie będzie obcy. Na co un obcy ma być, na co ma obcym się robić, kiedy un i tak swój? Pan dobrodziej myśli, co jak tu deszcz pada, to un żyda nie moczy, bo żyd obcy? Albo może pan dobrodziej myśli, co jak tu wiatr wieje, to un piaskiem nie sypie w oczy temu żydowi, bo żyd obcy? Albo może pan dobrodziej myśli, że jak ta cegła z dachu leci, to una żyda ominie, bo un obcy? Nu, to ja panu dobrodziejowi powiem, że una jego nie ominie. I wiatr jego nie ominie, i deszcz jego nie ominie! Patrz pan dobrodziej na moje włosy, na moje brode... Uny siwe są, uny białe są... Co to znaczy? To znaczy, co uny dużo rzeczy widziały i dużo rzeczy pamiętają. To ja panu dobrodziejowi powiem, co une widziały wielkie ognie, i wielgi pożar, i wielgie pioruny na to miasto bić, a tego, co by od te ognie i od ten pożar, i od te pioruny żydy były uwolnione, to uny tego nie widziały! Nu, a jak noc jest na miasto, to una i na żydów jest, to i na żydów wtedy nie ma słońce!

Odetchnął głęboko, ciężko.

— Pan dobrodziej na zabawy chodzi? Pan dobrodziej na tańce bywa?

Gruby zegarmistrz skinął głową i zakołysał się na stole, brzęcząc dewizką.

Pochlebiało mu to, że introligator uważa go za człowieka światowego i mogącego jeszcze zabawiać się tańcami.

Żyd gorejącymi oczyma patrzył w jego twarz płaską, ozdobioną szerokim, mięsistym nosem.

— A smutku swego, swego kłopotu pan dobrodziej ma?

Zegarmistrz podniósł brwi, przybierając minę niezdecydowaną. Właściwie pragnął się on okazać wyższym nad podobne drobnostki, jak kłopot i smutek, ale że nie wiedział, do czego żyd zmierza, milczał więc dyplomatycznie.

Stary introligator odpowiedzi też nie czekał, tylko mówił dalej głosem wezbrany, pełnym:

— Nu, jak pan dobrodziej na tańce bywa i swego smutku też ma, to panu dobrodziejowi wiadomo jest, że się ludzie do tańca, do wesołości zejdą, i po wesołości się rozejdą, i nic. Ale jak te ludzie do smutku się zejdą, jak się uni do płakania zejdą, nu, to już nie jest nic. To już ten jeden temu drugiemu bratem się zrobił, to już ich ten smutek jednym płaszczem nakrył. To ja panu dobrodziejowi powiem, co ja w to miasto więcej rzeczy widział do smutku niż do tańca, i że ten płaszcz to bardzo duży jest. Ajaj, jaki un duży!... Un wszystkich nakrył, i ze żydami też!

Odwrócił się bokiem i spojrzał za siebie w okno.

— Mój panie Mendel — rzekł zegarmistrz tonem wyższości. — Gada się to tak i owak, ale każdy żyd, byle pieniądze miał.

Stary introligator nie dał mu dokończyć, ale podniósłszy rękę, trząsł nią jakby się od natrętnego owada opędzał.

— Niech mi pan dobrodziej nie powie te mowę! To jest mowe od wszystkie głupie ludzie. Jakby żydowi pieniądz za wszystko miał być, to by jemu Pan Bóg od razu kieszeń w skórę zrobił, abo i dwie. A jak jemu Pan Bóg kieszeń w skórę nie zrobił, nu, to na to, że żydowi pieniądz tyle ma być, co i każdemu.

— Ma być! — zawołał triumfalnie zegarmistrz, podnosząc tłusty podbródek i muskając się po nim. — Ale nie jest! W tym sęk, że nie jest...

Uśmiechnął się Mendel wpół smętnie, a wpół filuternie.

— A ja panu dobrodziejowi powiem, co tam właśnie sęka nie ma, tylko jest dziure. Ajaj, jakie dziure!

Spowaźniał nagle i kiwał głową, patrząc w ziemię.

— Pan dobrodziej myśli, co ja te dziure nie widzę? Ja ją widzę. Że una się zrobić mogła, to jest źle; ale że una dotąd niezałatana jest, to jeszcze gorzej. W te dziure to dużo mocy wpada i w słabość się obraca. I dużo rozumu wpada, a w głupstwo się obraca. I dużo dobroci wpada, a w złość się obraca... Chce mi pan dobrodziej wierzyć? Te dziure to nie żydki zaczęły pierwsze drzeć. Nu, że uni ją potem darli, to ja wiem, to ja nie skłamię, nie powiem, że nie! Ale najpierw, to ją zaczęła drzeć zapomnialość na to, co wszystkie ludzie od jednego Boga stworzone są.

Złożył dwa pierwsze palce w rękę, jakby tabakę brał, a wystawiwszy mały, dodawał tym gestem precyzji dowodzeniu swemu.

— To była pierwsza nitka, co tam w to miejsce pękła. Nu, tak jedni zaczęli do siebie ciągnąć, a drudzy znów do siebie i tak się już dalej rwało. Pan dobrodziej powiada, co dla żyda pieniądz wszystko jest? Nu, niech i tak będzie! A wie pan dobrodziej czemu? Nie wie pan dobrodziej? Pan dobrodziej myśli, temu, co żydki chytne są? To się pan dobrodziej myli. Pan dobrodziej zna ten słup na Ujazdów? Nu, pan dobrodziej się śmieje! To tam na ten słup położony będzie hunor, i wielga familja, i wielgie urzędy, i pieniądze też, nu, to jeden wliże na słup po ten hunor, a drugi po te mądrość, a trzeci po te herby, a czwarty po te sławność, a i taki się znajdzie, co po te pieniądze wliże, choć insze rzeczy przy nich są. Ale jak na ten słup położone będą tylko pieniądze, a nie będzie ani hunoru, ani sławności, ani mądrości, to po co ludzie będą na ten słup liźć? Jak pan dobrodziej myśli? Po pieniądze uni będą liźć i po nic więcej? A te z dołu, co się przypatrują, to będą krzyczeć: ajaj, jaki to chytry naród, po pieniądze tylko lizie, pieniądze u niego wszystko! A im kto mniejszy będzie, albo na głębszym dołu stał, to mniej widzieć będzie a głośniej jeszcze krzyczeć. A tylko te wysokie ludzie, te na górze stojące, widzieć będą, co na ten słup nic innego położone nie jest, i tym, co po to lizają, co tam położone jest, nie będą się dziwowali, a krzyczeć, to uni też nie będą. Co na nasz słup leży? Pieniądze tylko leżą, tak my po pieniądze idziem. Ale to nie jest pierwsze złe. Pierwsze złe, to jest takie, co dwa słupy są i co na nich nierówne rzeczy leżą.

— Jeszcze by! — roześmiał się impertynencko zegarmistrz.

— W teorii zresztą — dodał poważniej — masz pan może i słuszność. Ale w praktyce inaczej się to okazuje. Was, żydów, lęgnie się jak tej szarańczy, a zawsze to żywioł cudzy...

Stary introligator znów zamrugał nerwowo razy kilka i znów siwe swoje oczy w połowie rzęsami przysłonił.

— Mądry człowiek, choćby w garści dwa kamienie miał i trzy choćby miał, to tylko jednym w psa ciska. A pan dobrodziej dwoma kamieniami od razu cisnął na starego żyda... Ale to nic nie szkodzi. Ja ten jeden podniosę i ten drugi też podniosę. Mój grzbiet już się sam do ziemi schyla...

Musnął dwa razy białą swą brodą i, pomyślawszy chwilę, rzekł:

— Pan dobrodziej wie, jak ja się nazywam? Nu, ja się nazywam Mendel Gdański. Że ja się Mendel nazywam, to przez to, co nas było dzieci czternaście, a ja się piętnasty urodził, tu, na Stare Miasto, w te wąskie uliczke, zara za te żółte kamienice, gdzie apteka. Pan dobrodziej wie? Nu, jak ja się tam urodził, to nas było dzieci piętnaście, cały mendel. Przez to ja się Mendel nazywam. Czy nas ojciec nieboszczyk potopić miał? Nie miał nas potopić! Raz, że się un Pana Boga bał, a drugi raz, że un te swoje piętnaście dzieci tak kochał, że jak matka przyniosła śledź, to un tylko główkę sobie urwał, a całego śledzia to dzieciom dał, co by się najadły, co by nie były głodne. Tak ich kochał.

Zachłysnął się. Poczzerwieniał, oczy mu się zapaliły nagłym przypomnieniem. Wnet się jednak pohamował i mówił dalej z jowialnym uśmiechem, w którym gorzką ironię dostrzec było można.

— Ale ja, Mendel, widział, co mendlowi całemu źle na świecie, tak sam już tylko pół tuzina dzieci miał; a moja córka, Lija, nu, una tylko jednego syna miała i od boleści wielkiej umarła. Żeby una żyła, a sześć synów miała, a patrzała, na co ja patrzę, nu, to una by sześć razy od boleści umierać musiała!

Mówił szybko, coraz szybciej, głosem namiętnie przyciszonym, pochylając się ku zegarmistrzowi i przenikając go pałającym wzrokiem. Po chwili wyprostował się, wciągnął w starą pierś głęboki, ciężki oddech i, uśmiechnąwszy się smętnie, rzekł:

— To już my go nie nazywali Mendel, to już my go nazwali Jakub.

— Kubuś, pójdź tu! — zawołał, jakby pierwszy raz przypominając sobie obecność chłopca. A gdy malec wstał ze stołka i, szastnąwszy buciętami przed zegarmistrzem, do dziada się przytulił, stary pogłaskał go po głowie i rzekł:

— Kubuś, to takie imię, co go i pan dobrodziej, na ten przypadek, godnemu synkowi może dać. To jest takie imię, co to jak na tym sądzie króla Salomona: niech nie będzie ani mnie, ani tobie. To dobre imię jest! Po te imię, to jak po te kładke, przejdą ludzie z te niedobre czasy do te dobre czasy, kiedy jeden drugiemu nie będzie liczył, czy w domu dużo ma kołyski... Bo w te dużo kołyski dużo pracy jest, i dużo głodu jest, i dużo mogiłki też...

I nie na tym mądrość jest, co by mało ludzi było; ale na tym mądrość jest, co by uni dużo dobrego zrobili, dużo ziemi obsiali, dużo obkopali, dużo obsadzili. Co by uni dużo przemysłowców mieli, dużo rozumu się uczyli, dużo dobroci znali w sercu jeden dla drugiego. Mnie jeden stary chłop powiadał, co jak bocian więcej dzieci ma, niż ich wyżywić może, to jedno albo dwa z gniazda zruć. Tak niech już pan dobrodziej kłopotu o to nie ma. To i nad ludźmi taka moc musi być, co te gęby liczy i te ziarna w kłosie też...

Trząś siwą brodą, coraz silniej tuląc malca do swego boku.

— Nu, ja nie tylko nazywam się Mendel, ja jeszcze nazywam się Gdański. Nu, co to jest Gdański? To taki człowiek, albo taka rzecz, co z Gdańska pochodząca jest. Pan dobrodziej wie?... Wódka gdańska jest i kufer gdański jest, i szafa gdańska jest... tak uny gdańskie mogą być, tak ja jestem Gdański. Nie jestem paryski, ani nie jestem wiedeński, ani nie jestem berliński, — jestem Gdański. Pan dobrodziej powiada, co ja cudzy. Nu, jak to może być? Jak ja Gdański, to ja cudzy? Tak pan dobrodziej powiada? Czy to tam już wyszła Wisła? Czy tratwy tam nie idą od nasze miasto? Czy tam te łapciuchy nasze flisy już nie są?... To już wszystko cudze?... To pan dobrodziej taki hojny? Nu! szkoda, co ja przód nie wiedział o tym, co pan dobrodziej taki hojny, bo ja bym poprosił pana dobrodzieja choć o połowę sklepu, choć o połowę te wszystkie zegarki, co tam są...

Zegarmistrz śmiał się i chwycił za boki.

— A niechże pana nie znam! A toś pan wywiódł sztukę, że i Bosko lepiej nie potrafi! Że Gdański, to już swój! Cha! cha! cha!...

Stary żyd kiwał głową i uśmiechał się także. Filuteria sofisty błyszczała mu w oczach, ale uśmiech był gorzki, kolący...

— Mendel Gdański i Jakub Gdański — rzekł po chwili z powagą, zwracając się do wnuka i jakby przekazując mu dostojność swojego nazwiska i swojej tradycji.

— Nu, co un jest ten Mendel Gdański? Un żyd jest, w to miasto urodzony jest, w to miasto un żyje, ze swojej pracy, w to miasto ma grób ojca swego, i matki swojej, i żony swojej, i córki swojej. Un i sam w to miasto kości swoje położy.

— Nu, co un jest ten Kubuś Gdański? — ciągnął dalej, odsunawszy od siebie chłopca na środek izby na długość swej ręki i nie puszczając jego ramienia.

— Nu, un uczeń jest. Un w szkole siedzi, w ławkę, przy swoich kolegi un siedzi, w książkę patrzy, pisze, uczy się. Nu, na co un się uczy? Un się na to uczy, co by rozum miał. Nu, czy un ten rozum gdzie poniesie, jak un go będzie miał? Un go nigdzie nie poniesie w obce miejsce. Un go nie poniesie do wody utopić, ani do ognia spalić, ani do

ziemi zakopać. Un tu mądry będzie, na ten kraj, na to miasto będzie rozum miał. To będzie w ten kraj cały rozum, co by bez niego był, i jeszcze ten rozum będzie w ten kraj, co un go Kubuś będzie miał. Czy pan dobrodziej myśli, co to będzie za dość? Za dużo? Nu, pan dobrodziej takie głupstwo nie może myśleć?

Nu, a jak un rozum będzie miał, to un będzie wiedział takich rzeczy, jakie ja nie wiem i pan dobrodziej nie wie. Un może i to będzie wiedział, co wszyscy ludzie dzieci są od jednego Ojca, i co wszyscy ludzie kochać się mają, jak te bracia...

Przyciągnął do siebie na powrót chłopca, a objąwszy jego szyję, pochylił się do zegarmistrza i szepnął:

— Bo to delikatne dziecko jest... sierota jest... bardzo miętkiego serca...

Pogłaskał chłopca po twarzy i dodał:

— Idź, kochanku, połóż się spać, bo jutro do szkoły pójdziesz.

Malec znów szastnął buciętami przed zegarmistrzem, dziada rękę do ust przycisnął i zniknął za pasową firanką, dzielącą izbę od małej alkowy.

Stary żyd błysnął oczami raz i drugi, zachłysnął się i, unosząc brodę, spytał:

— Nu, z przeproszeniem pana dobrodzieja, kto to powiadał, co żydów mają bić? Ja się przy to dziecko pytać nie chciał, żeby go broń Boże nie przestraszyć, bo to bardzo delikatne dziecko jest, ale teraz, to ja się pana dobrodzieja o to bez urazy spytam...

Uśmiechał się pochlebnie, ujmująco, siwe jego oczy patrzyły z przymileniem.

Zegarmistrz, zbity nieco z tropu poprzednimi wywodami żyda, natychmiast uczuł swoją przewagę.

— Powiadają... — bąknął niedbale, wydymając wargi.

— Nu, kto powiada? — pytał żyd, a oczy już z aksamitnych stawały się ostre, kłujące.

— Ludzie powiadają... — bąknął tym samym tonem zegarmistrz.

Stary żyd odskoczył nagle na dwa kroki, ze zwinnością, której by się nikt w nim nie domyślał. Wzrok jego pałał, wargi parskwały, głowę postawił jak kozioł.

— Ludzie?... Ludzie powiadają? — pytał głosem syczącym, w coraz wyższe wpadającym tony.

— Ludzie?...

I za każdym wymówionym wyrazem pochyłał się coraz bardziej naprzód, przysiadając niemal.

Zegarmistrz patrzył obojętnie, bawiąc się dewizką i kiwając nogą w trzewiku. Uważał jednak, że ta postawa żyda jest wobec niego niewłaściwa i śmieszna.

— Cóż to pana tak dziwi? — zapytał chłodno.

Ale stary introligator już się uspokoił. Rozpatrywał się, ręce wparł w biodra, brodę wyrzucił do góry, oczy zmrużył.

— Pan dobrodziej się myli — rzekł. — Ludzie tego nie powiadają. To powiada wódka, to powiada szynk, to powiada złość i głupota, to powiada zły wiatr, co wieje.

Wzniósł rękę i machnął nią wzgardliwie.

— Niech pan dobrodziej śpi spokojnie. I ja będę spokojnie spał, i to dziecko będzie spokojnie spało! Nasze miasto bardzo dużo smutku ma i bardzo dużo ciemności, i bardzo dużo nieszczęścia, ale na nasze miasto jeszcze to nie przyszło, co by się w nim ludzie gryźli jak psy. O to może pan dobrodziej spokojny być!

Zacisnął usta i sięgnął z powagą po ciężki cynowy lichtarz, jakby chciał zaraz świecić gościowi do sieni. Zsunął się pan zegarmistrz ze stołu, nacisnął hawelok, umocnił na głowie kapelusz, który mu gdzieś na kark zjechał, i rzuciwszy: dobranoc, wyszedł.

Wtedy żyd ode drzwi wrócił, lichtarz na stole umieścił, a przyszedłszy na palcach ku alkowiemu, pąsowej firanki uchylił i ucha nadstawił.

Z wewnątrz alkowy słyhać było oddech dziecka gorączkowy, nierówny, chrypliwy. Mała lampka o zielonej szklanej banieczce paliła się tam na stolku. Stary pantofle zrzucił, do łóżka podszedł i zapatrzył się w rozognioną twarzyczkę chłopca niespokojnie, badawczo. Chwilę tak stał, wstrzymując dech w piersi, po czym westchnął i, wysunawszy się z alkowy, na stolku ciężko siadł, oparł dłonie o kolana i zakołysał siwą swoją głowę.

Zgarbiony był teraz i jakby postarzały o jaki lat dziesiątek. Usta jego poruszały się bezdźwięcznie, pierś dyszała ciężko, oczy utkwione były w podłogę. Cienka świeca dogasała, skwiercząc w cynowym lichtarzu.

Nazajutrz rano uliczka obudziła się cicha jak zwykle i jak zwykle spokojna. Gdański od wczesnego ranka stał w skórzanym fartuchu przy swoim warsztacie. Wielkie jego nożyce zgrzytały po papierze zapalczywie, twardo, śruba prasy pishczała, dociskana do ostatniego kręgu, nóż wąski, długi, błyskał pod ranne słońce zużytą swą klingą, skrawki papieru padały z szelestem na prawą i na lewą stronę. Stary introligator pracował gorączkowo, żarliwie; na jego zwiędłej, głęboko zbruzdzonej twarzy znać było noc niespaną. Gdy przecież wypił lichą kawę, którą mu sąsiadka w dużym fajansowym imbryku przyniosła, rażniej mu się jakoś na sercu zrobiło, nałożył krótką fajeczkę, zapalił i poszedł budzić wnuka.

Chłopak zasnął dziś jakoś. Długo w noc na posłaniu rzucał się, jak ryba, a teraz spał snem głębokim, cichym. Cienki promień słońca, wpadający do alkowy przez otwór pąsowej firanki, kładł mu się na oczach, na ustach, na wątlach, odkrytych piersiach; to znów w ciemnych miękkich włosach i w długich spuszczonej rzesach zapalał złoto brunatne, migotliwe płomyki.

Stary patrzył się z lubością na dziecko. Czoło jego wygładzało się, usta rozszerzały, oczy mrużyły i nabierały blasku. Roześmiał się wreszcie szczęśliwym cichym śmiechem, a wciągnąwszy wielki kłęb dymu z fajeczki, pochylił się i puścił go pod sam nos chłopaka. Malec się zakrztusił, zerwał, szeroko otwarł złote swoje oczy i zaczął je trzeć złożonymi w dwie chude piąstki rękami. Śpieszył się teraz niezmiernie, był zafrasowany; jedno z zadań zostało niedokończone, książki, kajety niepoukładane leżały dotychczas na stole. Już i kawy nie dopił, i bułki na pauzę, przełożonej dwoma plasterkami zimnego jajka na twardo, nie chciał wziąć, tylko w tornister książki rzucał, niepewny, czy się nie spóźni. Kiedy wszakże, szynel na ramiona wzięwszy, do drzwi zmierzał, drzwi otwarły się gwałtownie, a chudy student z facjatki pchnął go na powrót do izby:

— Uciekaj, bo żydów biją!

Rozdrażniony był widocznie bardzo. Jego ospowata, długa twarz zdawała się jeszcze dłuższa i jeszcze bardziej spustoszona; krok, jaki z sieni do izby zrobił, oddalił cienkie jego nogi na niezmierną odległość od siebie, małe bure oczy sypały iskry gniewu. Wylękły malec kłębkiem potoczył się aż ku stołowi, upuszczając szynel i tornister...

Stary osłupiał. Ale wnet oprzytomniawszy, ogniami z twarzy buchnął: jak żbik do studenta skoczył...

— Co to uciekaj?... Gdzie un ma uciekać?... Na co un ma uciekać?... Czy un tu ukradł co komu, co by un uciekać miał?... Czy un tu w cudzej stancji siedzi?... W cudzy dom... Un tu w swojej stancji siedzi! W swój dom! Un tu nikomu nic nie ukradł! Un do szkoły idzie! Un nie będzie uciekał!...

Przyskakiwał do stojącego we drzwiach studenta, skurczony, zebrany w sobie, syczący, parszający i trzęsący brodą.

— Jak tam pan chcesz! — rzucił szorstko student. — Ja powiedziałem...

I zabierał się do wycofania z izby swej niezmiernie długiej nogi. Stary introligator uchwycił go za połą wytartego paltota.

— Jak ja chcę?... Nu, co to jest za gadanie, jak ja chcę! Ja chcę, co bym ja spokój miał. Ja chcę spokojnie zjeść mój kawałek chleba, co ja na niego pracuję! Nu, ja chcę

wychować te sierotę, ten chłopiec, co by z to dziecko człowiek był, co by nikt na niego nie pluł, kiedy un nic winny nie jest!... Nu, ja chcę, co by nie było ani mojej, ani niczyjej krzywdy, co by sprawiedliwość, co by się ludzie Boga bali!... Nu, ja tego chcę! A uciekać to ja nie chcę! Ja w to miasto się urodził, w ten dom dzieci miał, ja tu nikogo nie skrzywdził, ja tu warsztat mam...

Nie skończył, kiedy od załamu uliczki ozwała się głucha wrzawa, jakby z daleka gdzieś przeciągającej burzy. Po twarzy studenta przeleciał kurcz nagły, wpół głośna klątwa wypadła mu przez ściśnięte zęby.

Stary intrologator umilkł, wyprostował się i, wyciągnawszy chudą szyję, nadśluchiwał chwilę. Wrzawa zbliżała się szybko. Słysząc już było gwizd przeciągły, śmiechy, wołania, wybuchy krzyków i płaczu lament. Uliczka zawrzała. Zamykano bramy, tarasowano sklepy, jedni biegli wprost na wrzawę, drudzy uciekali od niej.

Nagle malec wystraszony rozszlochał się głośno. Student z naciskiem drzwi zamknął i zniknął w pustej sionce.

Stary żyd słuchał. Ani szlochania dziecka, ani wyjścia studenta zdawał się nie spostrzegać. Wzrok miał jak gdyby cofnięty w siebie, dolną wargę obwisłą, ucho nastawione. Mimo skórzanego fartucha, widać było drżenie jego starych kolan; twarz z czerwonej stała się brunatna, z brunatnej żółta, z żółtej kredowo-biała. Wyglądał jak człowiek trafiony postrzałem. Chwilka jeszcze, a to stare, osłabłe ciało złamie się i runie.

Coraz bliższa, coraz wyraźniejsza wrzawa wpadła nareszcie w opustoszałą uliczkę z ogromnym wybuchem krzyku, świstania, śmiechów, klątw, złorzeczeń. Ochryple pijackie głosy zlewały się w jedno z szatańskim piskiem niedorostków. Powietrze zdawało się pijane tym wrzaskiem motłochu; jakaś zwierzęca swawola obejmowała uliczkę, tłoczyła ją, przewalała się po niej dziko, głusząco. Trzask łamanych okiennic, łoskot toczących się beczek, brzęk rozbijanego szkła, łomot kamieni, zgrzyt drągów żelaznych, zdawały się, jak żywe, brać udział w tej ohydnej scenie. Jak płatki gęsto padającego śniegu wylatywało i opadało pierze z porozrywanych poduszek i betów. Już tylko kilka lichych kramów dzieliło izbę Mendla od rozpasanej ciżby. Malec przestał szlochać i, trzęsąc się cały jak w febrze, przysiadł się do dziada. Jego wielkie, ciemne oczy pociemniały jeszcze i świeciły ponuro z pobladłej twarzyczki. Dziwna rzecz! To przytulenie się dziecka i to bliskie już niebezpieczeństwo skrzepiły starego żyda. Położył rękę na głowie wnuka, tchu w piersi nabrał szerokim oddechem, a choć twarz miał jeszcze jak opłatek białą, do źrenic już przywołał i ogień, i życie.

— Sz... — szepnął uspokajająco.

Teraz dopiero uciszał płacz, który już sam umilkł, zduszony wielkim strachem. Teraz dopiero to przedchwilowe szlochanie dziecka dochodziło do jego świadomości.

W tej chwili do długiej, wąskiej sionki wpadło kilka kobiet: powroźniczka z dzieckiem na ręku, stróżka, straganiarka.

— Dalej, Mendlu! — krzyknęła od progu stróżka — zejdzta im z oczów! Ja tu duchem w oknie obrazik postawię, albo krzyzik. Już ta po inszych izbach stoi... To tam nie idą!...

Chwyciła malca za rękę.

— Dalej, Kubuś! Do alkowy!...

Obstąpiły ich, zasłaniały sobą, pchały ku pąsowej firance. Znały tego żyda tak dawno, był usłużnym, dobrym człowiekiem. Za kobietami zaczęli się wsuwać inni mieszkańcy małej kamieniczki. Izba zapełniała się ludźmi.

Stary Mendel jedną rękę oparł ciężko na ramieniu chłopca, a drugą odsunął kobiety. Oprzytomniał już zupełnie przez tę jedną chwilę.

— Dajta spokój, Janowa! — mówił twardym, brzmiącym jak dzwon głosem. — Dajta spokój! Ja wam dziękuję, bo wy mnie swoją świętość chcieli dać, mnie ratować, ale ja do moje okno krzyż nie chcę stawić! Ja się nie chcę wstydzić, co ja żyd. Ja się nie chcę bać! Jak uny miłosierdzia w sobie nie mają, jak uny cudzej krzywdy chcą, nu, to uny i na ten krzyż nie będą pytali, ani na ten obraz... Nu, to uny i nie ludzie są. To uny całkiem dzikie bestie są.

A jak my są ludzie, jak uny są chrześcijany, nu, to dla nich taka siwa głowa starego człowieka i takie dziecko niewinne, też jak świętość będzie.

— Pójdź, Kubuś...

I pociągnawszy za sobą chłopca, mimo hałaśliwych protestów zebranych, do okna podszedł, oba jego skrzydła pchnięciem ręki otworzył i stanął w nim w rozpiętym kaftanie, w skórzanym fartuchu, z trzęsącą się brodą białą, z głową wysoko wzniesioną, tuląc do swego boku małego gimnazistę w szkolnej bluzie, którego wielkie oczy otwierały się coraz szerzej, utkwione w wyjący motłoch.

Widok był tak przejmujący, że kobiety szlochać zaczęły.

Spostrzegła stojącego w oknie żyda uliczna zgraja i, omijając pozostałe kramy, rzuciła się ku niemu.

Tę heroiczną odwagę starca, to nieme odwołanie się do uczuć ludzkich tłumu, wzięto za zniewagę, za urągowisko. Tu już nie szukano, czy jest do wytoczenia jaka beczka pełna octu, okowity, jaka paka towarów do rozbicia, jaka pierzyna do rozdarcia, jaki kosz jaj do stłuczenia. Tu wybuchła ta dzika żądza pastwienia się, ten instynkt

okrucieństwa, który przyczajony w jednostce, jak pożar opanowuje zbiegowisko, ciżbę...

Jeszcze nie dobiegli pod okno, kiedy kamień rzucony spośródka tłumu, trafił w głowę chłopca. Malec krzyknął, kobiety rzuciły się ku niemu. Żyd puścił ramię dziecka, nie obejrzał się nawet, ale podniósłszy obie ręce wysoko, ponad wyjący motłoch wzrok utkwiał i szeptał zbiełymi usty:

— Adonai! Adonai!... — a wielkie łzy toczyły się po jego zbrudzonej twarzy.

W tej chwili był to prawdziwy „Gaon”, co znaczy: wysoki, wzniosły.

Kiedy pierwsi z tłumu pod okno dopadli, znaleźli tam wszakże niespodziewaną przeszkodę w postaci chudego studenta z facjatki.

Z wzburzoną czupryną, w rozpiętym mundurze, stał on pod oknem żyda, rozkrzyżował ręce, zacisnąwszy pięści i rozstawiwszy nogi jak otwarty cyrkiel. Był tak wysoki, że zasłaniał sobą okno niemal w połowie. Gniew, wstyd, wzgarda, litość, wstrząsały jego odkrytą piersią i płomieniami szły po jego czarnej, ospowatej twarzy...

— Wara mi od tego żyda! — warknął jak brytan na pierwszych, którzy nadbiegli. — A nie, to wal we mnie jeden z drugim gałgany! Psubraty, hultaje!

Trząsł się aż cały i nawet pełnego głosu dobyć nie mógł, tak go gniew dławiał. Z małych jego burych oczu iskry sypać się zdawały.

Był w tej chwili piękny jak Apollo...

Kilku trzeźwiejszych z bandy zaczęło się cofać. Postać młodzieńca i jego słowa uderzyły ich swą siłą. Skorzystał z tego długi student, a skoczywszy przez niskie okno do izby, odepchnął żyda, a sam w oknie stanął. Tłum przeciągnął mimo tego okna z głuchą wrzawą. Szyderstwa, pogróżki, wrzaski, złorzeczenia, towarzyszyły pochodowi temu; po czym wrzawa oddalała się, cichła, aż przeszła w huk niewyraźny, daleki.

Tego wieczora nikt się przy sosnowym stole nie uczył, i nikt przy warsztacie nie pracował. Zza pąsowej firanki, z alkowy, dobywał się niekiedy cichy jęk dziecka; zresztą spokój panował tu zupełny. Gdyby nie rozbita szyba w okienku, gdyby nie porzucony na podłodze szynel i tornister uczniowski, nie znać byłoby tej burzy, która tu przeszła rankiem.

W alkanie, za pąsową firanką, leżał mały gimnazista z obwiązaną głową. Zielona lampka paliła się przy nim, chudy student siedział na brzegu łóżka, trzymając rękę malca.

Twarz studenta była już tą samą, co zwykle, dziobatą, brzydką twarzą; w oczach tylko paliły się niedogasłe ognie, z dna duszy ruszone. Siedział milczący, namarszczony, gniewny i od czasu do czasu rzucał niecierpliwe spojrzenie w ciemny kąt alkowy. W kącie tym siedział stary Mendel Gdański, bez ruchu, bez głosu. Skulony, z łokciami wspartymi o kolana, z twarzą ukrytą w rękach, siedział on tak już od południa, od chwili, w której dowiedział się, że chłopcu niebezpieczeństwo nie grozi.

Ta nieruchomość i to milczenie starego introligatora niecierpliwiły studenta.

— Panie Mendel! — burknął wreszcie — wyleźże pan już raz z tego kąta! Bosiny pan odprawiasz, czy co u licha? Trochę gorączki i nic więcej. Chłopak za tydzień jaki do szkoły pójdzie, byle się trochę tylko skóra zrosła. A pan tak na marze zasiadł, jakby co panu umarło.

Stary żyd milczał.

Po chwili dopiero podniósł głowę i odezwał się głosem namiętnie drgającym:

— Pan się pyta, czy ja na bosiny siedzę? Nu, ja siedzę na bosiny! Ja popiół na głowę mam i wór gruby na głowie mam, i na popiele ja siedzę, i nogi bose mam, i pokutę wielką mam, i wielką boleść mam, i wielką gorzkość...

Zamilkł i twarz znowu w ręce ukrył. Mała zielona lampka dawała jego siwej głowie jakieś szczególne widmowe niemal oświetlenie. Malec jęknął raz i drugi i znów zaległo milczenie.

A wtedy wśród tej ciszy podniósł Mendel Gdański raz jeszcze głowę i rzekł:

— Pan powiada, co u mnie nic nie umarło? Nu, u mnie umarło to, z czym ja się urodził, z czym ja sześćdziesiąt i siedem lat żył, z czym ja umierać myślał... Nu, u mnie umarło serce do tego miasto!

Przeczytaj także:

Mendel Gdański – Streszczenie szczegółowe

Mendel Gdański – Streszczenie krótkie

Mendel Gdański – Plan wydarzeń

Mendel Gdański – Charakterystyka bohaterów

Mendel Gdański – Czas i miejsce akcji

Mendel Gdański – Geneza utworu i gatunek

Mendel Gdański – Problematyka utworu

Mendel Gdański – Biografia autora

Utwór znajduje się w domenie publicznej. Masz prawo do jego wykorzystywania, publikowania i rozpowszechniania.

Tekst opracowany na podstawie: Maria Konopnicka, Mendel Gdański, Gebethner i Wolff, Warszawa 1930